KEN
FOLLETT
NIEBEZPIECZNA FORTUNA

Drzewo rodowe Pilasterów

1

W dniu tragedii chłopcy z Windfield School mieli zakaz wychodzenia z pokojów.

Była sobota, gorący majowy dzień. Takie popołudnia przeważnie spędzali na boisku, jedni grając w krykieta, inni obserwując mecz z cienistego skraju lasu Bishop's Wood. Ale ktoś popełnił przestępstwo. Otóż z biurka doktora Offertona, nauczyciela łaciny, skradziono sześć złotych suwerenów i podejrzenie padło na całą szkołę. Wszyscy mieli tkwić w budynku, aż złodziej zostanie schwytany.

Micky Miranda siedział przy stole, na którym pokolenia znudzonych uczniaków wyrzynały swoje inicjały, i trzymał w dłoni oficjalną broszurę zatytułowaną *Wyposażenie piechoty*. Ryciny ze szpadami, muszkietami i karabinami zazwyczaj go fascynowały, lecz teraz było mu gorąco i nie mógł się skupić. Jego kolega, siedzący po drugiej stronie stołu Edward Pilaster, oderwał wzrok od zeszytu do łaciny. Właśnie spisywał zrobione przez Micky'ego tłumaczenie strony tekstu Plutarcha.

– Nie umiem przeczytać tego słowa – powiedział, wskazując palcem brudnym od atramentu.

Micky zerknął na kartkę.

– Zdekapitowany. Od łacińskiego czasownika *decapitare*.

Łacinę przyswajał z łatwością, być może dlatego, że wiele

podobnych słów występowało w hiszpańskim, jego języku ojczystym.

Pióro Edwarda skrzypiało na papierze. Micky podniósł się niespokojnie i podszedł do otwartego okna. Powietrze stało, nieporuszane wiatrem. Spojrzał tęsknie ku lasowi rozpościerającemu się za podwórzem stajni. U jego północnego krańca, w nieużywanym kamieniołomie znajdował się ocieniony, wypełniony wodą dół, w którym można się było kąpać. Woda, zimna i głęboka…

– Chodźmy popływać – rzucił nagle.

– Nie wolno nam – przypomniał mu Edward.

– Moglibyśmy się wydostać przez synagogę. – Nazywali tak sąsiedni pokój zajmowany przez trzech żydowskich chłopców. Nauczanie o sprawach boskich traktowano w Windfield ze swoistą lekkością, do różnic religijnych zaś podchodzono tolerancyjnie; z tego też powodu szkoła odpowiadała i żydom, i rodzicom Edwarda, którzy byli metodystami, a także ojcu Micky'ego, katolikowi. Na przekór jednak oficjalnie głoszonej otwartości uczniowie pochodzenia żydowskiego doznawali pewnych prześladowań. – Możemy wyjść przez okno ich pokoju, zeskoczyć na dach pralni, zejść od niewidocznej strony stajni i wymknąć się do lasu.

Twarz Edwarda wyrażała strach.

– Jeśli cię złapią, dostaniesz Smagaczem.

Tę nazwę chłopcy nadali jesionowej rózdze, którą posługiwał się dyrektor szkoły, doktor Poleson. Karą za złamanie zasad było dwanaście bolesnych smagnięć. Micky został kiedyś wychłostany przez dyrektora za hazard i wciąż jeszcze drżał na to wspomnienie. Ale szansa wpadki ledwie majaczyła w oddali, natomiast myśl, że się rozbiera i zanurza nago w stawie, była tuż, tuż – nieomal czuł dotyk zimnej wody na spoconej skórze.

Popatrzył na kolegę, który nie cieszył się w szkole sympatią: za leniwy do nauki, był także fajtłapowaty w sporcie i zbyt

samolubny, by zjednać sobie szersze grono kolegów. Jedynego przyjaciela miał w Mickym i nie lubił, kiedy ten spędzał czas z innymi.

– Zobaczę, może Pilkington będzie chciał iść – powiedział Micky, zmierzając do drzwi.

– O nie, tylko nie to – zaniepokoił się Edward.

– Niby dlaczego nie. Ty się spietrałeś.

– Wcale nie – zaprzeczył tamten bez przekonania. – Po prostu muszę dokończyć łacinę.

– Więc kończ, a ja pójdę pływać z Pilkingtonem.

Edward siedział chwilę z upartą miną, po czym uległ.

– No dobrze, idę – zgodził się niechętnie.

Micky otworzył drzwi. Po gmachu niósł się cichy szmer, ale na korytarzu nie było widać nauczycieli. Chłopcy przemknęli do sąsiedniego pokoju.

– Czołem, Hebrajczycy – zagadnął Micky.

Przy stole dwaj chłopcy grali w karty. Zerknęli tylko na niego i kontynuowali bez słowa. Trzeci, Grubas Greenbourne, jadł ciasto. Matka stale coś mu przysyłała.

– Cześć wam – odparł życzliwie. – Chcecie trochę?

– Na Boga, Greenbourne, opychasz się jak świnia – stwierdził Micky.

Chłopiec wzruszył ramionami i zajadał dalej. Koledzy kpili z jego tuszy, na domiar złego był Żydem, ale nie przejmował się tym. Mówiono, że jego ojciec jest najbogatszym człowiekiem świata; być może właśnie dlatego wyzwiska nie robią na nim wrażenia, myślał Micky, podchodząc do okna.

Otworzył je i rozejrzał się. Podwórze przed stajnią ziało pustką.

– Co robicie, chłopaki? – chciał wiedzieć Grubas.

– Idziemy się kąpać – odparł Micky.

– Dostaniecie chłostę.

– Wiem – zapiał błagalnie Edward.

Jego towarzysz siadł na parapecie, ułożył się na brzuchu, zsunął i zeskoczył kilkanaście centymetrów na pochyły dach pralni. Zdawało mu się, że słyszy pękanie dachówek, ale dach utrzymał ciężar. Uniósłszy głowę, zobaczył Edwarda, który z niepokojem wyglądał przez okno.

– No dalej! – ponaglił go. Zgramolił się w dół i opuścił po rynnie na ziemię. Minutę później kompan zeskoczył obok.

Micky zerknął za róg pralni. W zasięgu wzroku nikogo nie było. Bez wahania przemknął przez podwórze i popędził do lasu. Biegł między drzewami, aż uznał, że nie widać go już ze szkolnych zabudowań; wtedy się zatrzymał i odsapnął. Edward dogonił go po chwili.

– Udało się! – oznajmił mu triumfalnie Micky. – Nikt nas nie zauważył.

– Pewnie nas złapią, kiedy będziemy wracali – odrzekł tamten ponuro.

Przyjaciel spojrzał nań z uśmiechem. Edward miał bardzo angielską fizjonomię: proste jasne włosy, niebieskie oczy i nos kształtem przypominający szeroki nóż. Był chłopcem dużym, barczystym i silnym, całkowicie jednak pozbawionym koordynacji ruchowej. Brakowało mu też wyczucia stylu i ubierał się fatalnie. On i Micky byli rówieśnikami, mieli po szesnaście lat, ale poza tym wiele ich różniło: Micky miał ciemne kręcone włosy i ciemne oczy, pedantycznie dbał o wygląd i nie tolerował u siebie niechlujstwa.

– Zaufaj mi, Pilaster – powiedział. – Czy nie jest tak, że zawsze się o ciebie troszczę?

Udobruchany Edward uśmiechnął się.

– W porządku, chodźmy.

Ruszyli przez las ledwie widoczną ścieżyną. Liście buków i wiązów dawały trochę chłodu i Micky poczuł się raźniej.

– Co robisz latem? – zapytał.

– W sierpniu przeważnie jeździmy do Szkocji.

– Twoi mają tam domek myśliwski? – Micky podchwycił gwarę angielskich wyższych sfer i wiedział, że użył właściwego określenia, nawet jeśli obiekt był zamkiem z pięćdziesięcioma izbami.

– Wynajmują dom – odparł Edward. – Ale nie strzelamy. Ojciec nie uprawia sportu.

Defensywny ton w głosie kolegi dał Micky'emu do myślenia. Zdawał sobie sprawę, że przedstawiciele angielskiej arystokracji z zamiłowaniem polują na ptaki w sierpniu, na lisy zaś przez całą zimę. Miał również świadomość, że arystokraci nie wysyłają swoich synów do Windfield. Ojcowie uczniów tej szkoły byli biznesmenami i inżynierami, nie hrabiami i biskupami, a tacy nie trwonią czasu na strzelectwo i polowanie. Pilasterowie byli bankierami, Edward natomiast, mówiąc: „Ojciec nie uprawia sportu", przyznawał, że jego rodzina nie należy do najwyższej warstwy społecznej.

Micky'ego bawiło, że Anglicy szanują próżniaków bardziej niż tych, którzy się czymś trudnią. W jego ojczyźnie nie darzono szacunkiem ani bezczynnej szlachty, ani pracowitych przedsiębiorców. Rodacy nie respektowali niczego prócz władzy. Skoro mężczyzna może trzymać innych w garści, nakarmić ich lub zagłodzić, uwięzić lub dać swobodę, uśmiercić albo pozwolić żyć – to czego więcej mu potrzeba?

– A ty jak spędzasz lato? – zapytał Edward.

Micky pragnął usłyszeć od niego to pytanie.

– Tutaj, w szkole.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że znów zostaniesz na całe wakacje?

– Muszę. Nie mogę pojechać do domu. Podróż w jedną stronę trwa sześć tygodni, musiałbym wyruszać z powrotem, zanimbym dotarł na miejsce.

– Na Jowisza, ciężki los.

Tak naprawdę Micky nie chciał wyjeżdżać. Rodzinnego domu

nie znosił od śmierci matki. Mieszkali tam teraz sami mężczyźni: ojciec, starszy brat Paulo, wujowie i kuzyni oraz czterystu gauczów. Papa był dla nich bohaterem, dla Micky'ego zaś kimś obcym – oziębłym, nieprzystępnym i niecierpliwym. Prawdziwy jednak problem stanowił brat Micky'ego, Paulo, który był głupi, ale silny. Nienawidził młodszego brata za to, że jest bystrzejszy, i z lubością go upokarzał. Nigdy nie omieszkał wykazać wszystkim, że Micky nie umie spętać wołu, ujeździć konia albo trafić węża kulą prosto w łeb. Ulubiony jego psikus polegał na tym, by spłoszyć wierzchowca Micky'ego; wtedy jeździec, śmiertelnie przestraszony, zaciskał powieki i trzymał się kurczowo w siodle, koń zaś cwałował jak oszalały przez pampę, aż się zmęczył. Nie, Micky'ego wcale nie ciągnęło do rodzinnego domu, lecz wakacje w szkole także mu się nie uśmiechały. Chodziło mu o to, żeby zaproszono go na lato do Pilasterów.

Kolega nie zaproponował jednak tego od razu i Micky zarzucił temat. Był pewny, że okazja jeszcze się nawinie.

Sforsowali zmurszały płot z tyczek i weszli na pagórek. Z jego grzbietu widać było wodę. Ściany wyrobiska pięły się stromo, lecz sprawni chłopcy znajdowali zejście do głębokiego stawu o ciemnozielonej wodzie, siedliska ropuch i żab, w której zdarzał się i wąż wodny.

Micky zdziwił się, zauważywszy tam trzech chłopaków.

Zmrużył oczy, bo słońce odbijało się od lustra wody, i popatrzył na nagie sylwetki. Cała trójka chodziła do czwartej klasy.

Strzecha marchewkowych włosów należała do Antonia Silvy, który choć kolor czupryny na to nie wskazywał, był krajanem Micky'ego. Ojciec Tonia nie posiadał tyle ziemi co jego, jednakże Silvowie mieszkali w stolicy i cieszyli się przyjaźnią wpływowych osobistości. Tak jak Micky, Tonio nie mógł wyjechać na wakacje do domu, ale na swoje szczęście miał znajomych w Ministerstwie Cordovy w Londynie i dzięki temu nie musiał spędzać całego lata w szkole.

Drugim chłopakiem był Hugh Pilaster, kuzyn Edwarda, w ogóle do niego niepodobny – czarnowłosy, o delikatnych, regularnych rysach, zwykle z łobuzerskim uśmiechem na ustach. Edward darzył go niechęcią, gdyż kuzyn dobrze się uczył, przez co on uchodził w szeregach rodziny za tępaka.

Trójki dopełniał Peter Middleton, raczej nieśmiały chłopiec, który zakolegował się z pewnym siebie Hugh. Wszyscy mieli białe, bezwłose ciała trzynastolatków o chudych kończynach.

Wtem Micky dojrzał czwartego chłopca, pływającego samotnie po przeciwległej stronie stawu. Był starszy od tamtych i trzymał się osobno. Micky niezbyt wyraźnie widział jego twarz i nie zdołał go rozpoznać.

Edward uśmiechnął się złośliwie, zwietrzywszy okazję do psoty. Przyłożył palec do ust i zaczął schodzić krawędzią wyrobiska. Kolega podążył w ślad za nim.

Dotarli do skalnej półki, na której amatorzy kąpieli zostawili ubrania. Tonio i Hugh zanurkowali, żeby popatrzeć na coś, co znajdowało się pod wodą, Peter zaś pływał spokojnie to w jedną, to w drugą stronę. On pierwszy spostrzegł przybyszów.

– O nie – jęknął.

– Ho, ho – odrzekł Edward. – Zakazy się łamie, co?

Hugh Pilaster dojrzał kuzyna i krzyknął:

– Wy też!

– Lepiej wracajcie, zanim was capną – powiedział Edward i uniósł z ziemi spodnie któregoś z chłopaków. – Tylko nie zamoczcie ubrań, bo wszyscy się dowiedzą, gdzieście byli. – Rzucił fragment odzieży na środek stawu i zaniósł się śmiechem.

– Ty świnio! – ryknął Peter i wyciągnął rękę do pływających spodni.

Micky uśmiechnął się z rozbawieniem.

Jego kompan podniósł z ziemi but i cisnął go do wody.

Chłopców ogarnął popłoch. Edward wziął następne spodnie i także wrzucił je do stawu. Zabawnie było patrzeć, jak trzy ofiary żartu pokrzykują i nurkują po swoje rzeczy; Micky zaczął się śmiać.

Jego kolega dalej ciskał do wody buty i części garderoby, a tymczasem Hugh Pilaster wdrapał się na brzeg. Micky myślał, że weźmie nogi za pas, on tymczasem pomknął prosto ku Edwardowi. Zanim ten się obrócił, Hugh pchnął go mocno i kuzyn, mimo że znacznie od niego wyższy, stracił równowagę. Zachwiał się na krawędzi, po czym z okropnym chlupnięciem wpadł do stawu.

Trwało to ułamek sekundy; Hugh chwycił kłębek ubrań pod pachę i niczym małpa jął wspinać się po zboczu. Peter i Tonio wrzasnęli drwiącym śmiechem.

Micky rzucił się w pogoń za Hugh, ale wnet sobie uświadomił, że nie zdoła pochwycić mniejszego i zwinniejszego chłopca. Odwrócił się, by zobaczyć, czy Edward nie ucierpiał. Nie było powodu do zmartwień, gdyż kolega zdążył się już wynurzyć. Dopadł Petera Middletona i raz po raz wpychał jego głowę pod wodę, karząc go za to, że się z niego śmiał.

Tonio dopłynął do krawędzi stawu z naręczem przemoczonych ubrań, po czym odwrócił głowę.

– Zostaw go, ty małpoludzie! – ryknął na Edwarda.

Zawsze był lekkomyślny i Micky nie miał pojęcia, co mu teraz strzeli do głowy. Chłopiec przeszedł kawałek wzdłuż brzegu, po czym odwrócił się z kamieniem w dłoni. Micky krzyknął ostrzegawczo do przyjaciela, lecz było już za późno. Tonio z zadziwiającą celnością wypuścił pocisk, trafiając Edwarda w głowę. Na jego czole rozprysła się plama jasnej krwi.

Zawył z bólu, zostawił swoją ofiarę i popłynął w kierunku chłopaka.

2

Hugh pędził nago przez las, ściskając to, co mu zostało z ubrania, i świadomie ignorując ból stóp, które uderzały o nierówne podłoże. Dopadłszy do skrzyżowania ścieżek, odbił w lewo, przebiegł jeszcze trochę, a następnie dał nura w krzaki i przycupnął.

Tam czekał, wyrównując oddech, i nasłuchiwał. Kuzyn Edward wraz ze swoim kompanem Mickym stanowili parę najgorszych drani w szkole, leniwych, niekoleżeńskich i wrednych. Jedyny sposób na tych dwóch polegał na tym, by trzymać się od nich z dala. Hugh miał jednak pewność, że kuzyn mu nie daruje, bo zawsze go nienawidził.

Skłóceni byli także ich rodzice. Toby, ojciec Hugh, wycofał pieniądze z rodzinnego interesu i rozpoczął własną działalność, polegającą na handlu farbami do odzieży. Nawet jego trzynastoletni syn był świadom, że najgorszą zbrodnią, jaką można popełnić w rodzinie Pilasterów, jest wyciągnięcie kapitału z banku. Ojciec Edwarda, Joseph, nigdy tego swojemu bratu nie wybaczył.

Hugh usiłował dociec, co stało się z kolegami. Przed nadejściem intruzów była ich czwórka: on, Tonio i Peter chlapali się w wodzie po jednej stronie stawu, a starszy od nich Albert Cammel pływał po drugiej.

Tonio, zazwyczaj odważny aż do granic lekkomyślności, bał się jednak Micky'ego Mirandy. Pochodzili z tego samego kraju w Ameryce Południowej, noszącego nazwę Cordova, i Tonio mówił, że rodzina tamtego jest potężna i okrutna. Hugh nie w pełni rozumiał, co to oznacza, efekt był jednak uderzający: innym piątoklasistom Tonio umiał się postawić, do rodaka zaś zawsze odnosił się grzecznie, a nawet ulegle.

Lękający się własnego cienia Peter zapewne szaleje ze strachu. Hugh miał nadzieję, że chłopak zdołał wyrwać się prześladowcom.

Albert Cammel, którego przezywano Garbusem, nie przyszedł do kamieniołomu z Hugh i jego kolegami; ubranie zostawił w innym miejscu, więc prawdopodobnie uciekł.

Udało się to również Hugh, ale z matni jeszcze się nie wyrwał. Postradał bieliznę, skarpety i buty. Będzie musiał wkraść się do szkoły tylko w koszuli i spodniach, ociekając wodą, i liczyć na to, że nie zauważy go nauczyciel bądź starszy uczeń. Aż jęknął głośno. Dlaczego mnie to ciągle spotyka? – pomyślał rozpaczliwie.

Przybył do Windfield półtora roku temu i co rusz wpadał w tarapaty. Trudności z nauką nie miał, bo był pracowity i z każdego sprawdzianu dostawał najlepsze stopnie. Drobiazgowy regulamin bardzo go jednak złościł. Kazano kłaść się do łóżka za kwadrans dziesiąta, on natomiast zawsze znajdował jakiś ważny powód, by siedzieć do dwudziestej drugiej piętnaście. Miejsca zakazane kusiły go i czuł nieodpartą chęć, by spenetrować a to ogród proboszcza, a to sad dyrektora szkoły, a to skład węgla tudzież piwnicę, w której trzymano piwo. Biegał, kiedy należało spacerować, czytał, kiedy kazano mu spać, i rozmawiał w czasie modlitw. Zawsze więc kończyło się to tak jak teraz – poczuciem winy i strachem, on zaś poniewczasie zachodził w głowę, dlaczego napytał sobie takiej biedy.

Przez kilka minut w lesie trwała cisza, a Hugh zastanawiał się nad swoim marnym losem: myślał, że zostanie wyrzutkiem społecznym lub nawet kryminalistą, że zamkną go w więzieniu albo skutego w kajdany ześlą do Australii bądź powieszą.

Wreszcie doszedł do wniosku, że Edward nie będzie go już ścigał. Wstał i włożył przemoczone spodnie i koszulę. Nagle usłyszał czyjś płacz.

Wyjrzawszy ostrożnie, Hugh zobaczył rudą jak marchew czuprynę Tonia. Jego przyjaciel kroczył z wolna ścieżką goły i mokry, niosąc w rękach ubranie i pochlipując.

– Co się stało? – zapytał Hugh. – Gdzie Peter?

Tonio zareagował nagłą złością.

– Nigdy tego nie powiem, przenigdy! Oni mnie zabiją.

– No dobrze, nie mów. – Tonio jak zwykle zląkł się Micky'ego: cokolwiek zaszło, nie piśnie o tym słowa. – Ale ubierz się – doradził praktycznie Hugh.

Tamten spojrzał pustym wzrokiem na kłębek mokrych ubrań, które trzymał w rękach, zbyt oszołomiony, żeby rozpoznać, co to właściwie jest. Hugh wziął od niego rzeczy. Były tam buty, spodnie i jedna skarpeta, ale brakowało koszuli. Pomógł koledze się ubrać i ruszyli w kierunku szkoły.

Tonio przestał szlochać, lecz szok nie mijał. Hugh miał nadzieję, że łobuzy nie wyrządziły mu jakiejś strasznej krzywdy. Teraz jednakże musiał myśleć o ratowaniu własnej skóry.

– Jeśli dostaniemy się do dormitorium, będziemy mogli włożyć świeże ubrania i zapasowe buty – planował. – A kiedy odwołają zakaz, pójdziemy do miasta i sprawimy sobie u Baxteda nowe, na kredyt.

Tonio skinął głową.

– Dobrze – przytaknął tępo.

Szli wśród drzew, a Hugh znów zaczął się głowić, co tak bardzo przeraziło Toniego. Wszak bicie słabszych nie było w Windfield niczym nowym. Co zdarzyło się obok stawu, kiedy on krył się w lesie? Jednak Tonio przez całą drogę nic nie powiedział.

Szkoła zajmowała sześć budynków, które stanowiły dawniej centrum dużej farmy, dormitorium zaś mieściło się w starej mleczarni obok kaplicy. Żeby się do niego dostać, chłopcy musieli pokonać mur, a następnie boisko. Wspięli się na pierwszą przeszkodę i rozejrzeli. Boisko było puste, tak jak przewidywał Hugh; mimo to się zawahał. Ciarki chodziły mu po plecach na myśl o chłoście. Ale nie było wyboru. Musiał dostać się do szkoły i włożyć suche ubranie.

– Pusto! – syknął. – Dawaj!

Przeskoczyli razem mur i popędzili przez boisko ku chłodnemu cieniowi rzucanemu przez kamienną kaplicę. Jak dotąd wszystko szło po ich myśli. Przekradli się obok wschodniego krańca budynku. Potem trzeba było zrobić krótki sprint drogą dojazdową i wejść do budynku. Hugh się zatrzymał. W polu widzenia nikogo nie było.

– Teraz!

Pomknęli drogą, lecz gdy znaleźli się u drzwi, spadł grom.

– Uczeń Pilaster! – krzyknął znajomy, władczy głos. – Czy to ty?

Hugh wiedział już, że gra jest skończona.

Serce mu zamarło. Znieruchomiał i odwrócił się. Doktor Offerton właśnie w tej chwili postanowił wyjść z kaplicy i stał teraz w cieniu ganku: wysoka postać złośliwca w szkolnej todze i birecie. Chłopiec zdławił jęk w gardle. Ten, któremu skradziono pieniądze, był najmniej ze wszystkich skłonny do litości. A więc będzie Smagacz. Mięśnie jego pośladków zacisnęły się mimowolnie.

– Podejdź no tu – rzekł Offerton.

Dlaczego ja się tak narażam? – myślał z rozpaczą Hugh, powłócząc nogami; kolega podążył za nim.

– Do gabinetu dyrektora, w tej chwili.

– Tak, proszę pana – jęknął żałośnie Hugh. Sytuacja robiła się coraz gorsza. Dyrektor zobaczy jego ubranie i najpewniej wyrzucą go ze szkoły. Jak wytłumaczy się przed matką?

– No, dalejże! – rzucił zniecierpliwiony nauczyciel.

Chłopcy się odwrócili, lecz on powiedział:

– Ty nie, Silva.

Winowajcy spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Czemu jeden ma być ukarany, a drugi nie? Poleceń nie wolno im było jednak kwestionować, więc Tonio czmychnął do dormitorium, jego kolega zaś powlókł się do domu dyrektora.

Już czuł na skórze dotyk Smagacza. Wiedział, że się pobeczy, i było to jeszcze dotkliwsze niż ból, bo miał trzynaście lat i zdawało mu się, że jest za duży na łzy.

Dom dyrektora stał po drugiej stronie kompleksu szkolnego; Hugh sunął bardzo powoli, a i tak dotarł na miejsce za szybko. Służąca otworzyła drzwi sekundę po dzwonku.

W przedsionku spotkał doktora Polesona. Dyrektor szkoły był łysy i miał twarz buldoga, lecz z jakiejś przyczyny nie pałał taką furią, jak można się było spodziewać. Nie zapytał, dlaczego Hugh nie jest w swoim pokoju i dlaczego ocieka wodą, tylko otworzył drzwi gabinetu.

– Wejdź, Pilaster – powiedział cicho. Bez wątpienia oszczędzał swój gniew na chłostę. Hugh wszedł z dudniącym sercem.

Ze zdziwieniem zobaczył, że w gabinecie siedzi matka.

Co gorsza, była zapłakana.

– Ja tylko poszedłem popływać! – wykrztusił.

Drzwi się zamknęły i Hugh uprzytomnił sobie, że dyrektor za nim nie wszedł.

Nagle coś mu zaświtało: owszem, złamał zakaz, kąpał się w stawie, zgubił ubranie i był na wpół goły, ale nie dlatego został wezwany.

Przeraziła go myśl, że powód jest o wiele straszniejszy.

– Mamo, co się stało? Dlaczego przyjechałaś?

– Och, Hugh – odparła, szlochając. – Twój ojciec nie żyje.

3

Dla Maisie Robinson sobota była najlepszym dniem tygodnia, bo tata odbierał wtedy wypłatę. Dzisiaj będzie na kolację mięso i świeży chleb.

Siedziała na progu ze swoim bratem Dannym, czekając na powrót taty z pracy. Chłopiec miał trzynaście lat, o dwa więcej

niż siostra, ona zaś uważała, że jest cudowny, mimo iż nie zawsze był dla niej miły.

Dom stał w szeregu zawilgoconych, dusznych budynków mieszkalnych w portowej dzielnicy miasteczka na północno-wschodnim wybrzeżu Anglii. Należał do pani MacNeil, wdowy, która zajmowała frontowy pokój na parterze. Robinsonowie mieszkali w pokoju na tyłach, na piętrze zaś ulokowała się inna rodzina. Kiedy tata miał przyjść z pracy, pani MacNeil czekała na niego w progu, żeby odebrać czynsz.

Maisie była głodna. Wczoraj wyżebrała od rzeźnika parę połamanych gnatów, a tata kupił rzepę i udusił ją na tych kościach, lecz to był ostatni posiłek dziewczynki. Ale dzisiaj jest sobota!

Starała się nie myśleć o kolacji, bo od tego brzuch bolał ją jeszcze bardziej.

– Tata zaklął dzisiaj rano – rzuciła do brata, żeby choć na chwilę zapomnieć o jedzeniu.

– Co powiedział?

– Że pani MacNeil jest *paskudniak*.

Chłopiec zachichotał, gdyż słowo to oznaczało gnoja. Rodzeństwo było już rok w nowym kraju i płynnie mówiło po angielsku, lecz wciąż jeszcze pamiętało jidysz.

Ich prawdziwe nazwisko nie brzmiało Robinson, lecz Rabinowicz. Pani MacNeil znienawidziła ich, gdy tylko dowiedziała się, że są Żydami. Nigdy wcześniej nie miała styczności z Żydem i wynajmując im pokój, brała ich za Francuzów. W miasteczku nie było innych Żydów. Robinsonowie nie planowali w nim osiadać: zapłacili za rejs do miasta o nazwie Manchester, gdzie mieszkało wielu Żydów, ale kapitan ich oszukał i powiedział, że tu właśnie jest Manchester. Dowiedziawszy się, że trafili w niewłaściwe miejsce, tata oznajmił, że zaoszczędzą trochę pieniędzy i przeprowadzą się do Manchesteru, ale potem mama zachorowała. Nadal była chora, a oni dalej tkwili w tym samym miejscu.

Tata pracował na przystani w wysokim budynku magazynowym, nad którego bramą widniał wypisany wielkimi literami szyld „Tobias Pilaster and Co". Maisie często głowiła się, kto to taki, ten Co. Tata był kancelistą, księgował beczki z barwnikami, które przywożono i wywożono z budynku. Ostrożny i skrupulatny, zawsze wszystko notował i układał listy. Mama stanowiła jego przeciwieństwo: cechowały ją pewność siebie i odwaga. To mama zapragnęła wyjechać do Anglii. Uwielbiała organizować przyjęcia i wycieczki, poznawać nowych ludzi, stroić się i bawić. Właśnie dlatego tata tak bardzo ją kocha, myślała Maisie – była tym, czym on być nie mógł.

Ale zabrakło już w niej iskry. Leżała cały dzień na starym materacu, to zasypiając, to się budząc, jej pobladła twarz błyszczała potem, oddech był gorący i cuchnął. Lekarz orzekł, że musi się wzmocnić, spożywać codziennie dużo świeżych jaj, śmietany i wołowiny; tata zapłacił mu pieniędzmi, za które miał kupić tego dnia kolację. Teraz przy każdym posiłku Maisie dręczyło poczucie winy, bo wiedziała, że odbiera mamie jedzenie, które może ocalić jej życie.

Wraz z Dannym nauczyli się kraść. W dni targowe szli do centrum i podkradali ziemniaki i jabłka ze straganów na rynku. Bystre oczy mieli kupcy, ale od czasu do czasu coś rozpraszało ich uwagę – ktoś sprzeczał się o wydawaną resztę, wybuchła bójka, napatoczył się pijak – a wtedy dzieci łapały w ręce co popadnie. Kiedy sprzyjało im szczęście, zauważały w tłumie majętnego rówieśnika, zasadzały się na niego i go okradały. Młodzi bogacze nosili nierzadko w kieszeniach pomarańcze, torebki ze słodyczami czy parę monet pensowych. Maisie bała się, że ktoś ich przyłapie, bo wiedziała, że mama bardzo by się z tego powodu wstydziła; ale rządził nią głód.

Podniosła głowę i zobaczyła grupę mężczyzn idących ulicą. Nie wiedziała, kim są. Było jeszcze za wcześnie na powrót dokerów z pracy. Rozprawiali gniewnie, machali rękami i potrzą-

sali pięściami. Kiedy się zbliżyli, rozpoznała pana Rossa, który mieszkał na piętrze i pracował z tatą u Pilasterów. Dlaczego nie jest na przystani? Czyżby ich wyrzucono? Złość pana Rossa mogła na to wskazywać. Z zaczerwienioną twarzą klął głupich cepów, parszywych gnojów i kłamliwych drani. Grupka mężczyzn znalazła się na wysokości domu i pan Ross nagle się od nich odłączył; tupiąc, wszedł do środka, a Maisie i Danny musieli odskoczyć, żeby ich nie stratował podkutymi buciorami.

Dziewczynka spojrzała raz jeszcze i zobaczyła tatę. Szczupły czarnobrody mężczyzna o łagodnych brązowych oczach, pochyliwszy głowę, podążał w pewnej odległości za resztą; jego twarz wyrażała przygnębienie i rezygnację. Maisie zebrało się na płacz.

– Tato, co się stało? Dlaczego wracasz wcześniej?

– Wejdźmy do domu – odparł tak cicho, że z ledwością go usłyszała.

Dzieci poszły za ojcem do pokoju na tyłach domu. Uklęknął przy materacu i złożył pocałunek na ustach mamy. Ta obudziła się i uśmiechnęła. Nie odwzajemnił uśmiechu.

– Firma upadła – zakomunikował w jidysz. – Toby Pilaster zbankrutował.

Maisie nie bardzo wiedziała, co to znaczy, ale z głosu taty wywnioskowała, że stało się coś strasznego. Rzuciła spojrzenie na brata, lecz on wzruszył tylko ramionami, bo także nie rozumiał.

– Ale dlaczego? – zapytała mama.

– Był krach finansowy. Wczoraj w Londynie upadł duży bank.

Mama ściągnęła brwi, koncentrując się z wysiłkiem.

– Ale tu nie jest Londyn. Co ma do nas Londyn?

– Szczegółów nie znam.

– Więc nie masz pracy?

– Ani pracy, ani zapłaty.

– Ale dzisiaj ci zapłacili?

Tata schylił głowę.

– Nie, nie zapłacili nam.

Maisie jeszcze raz spojrzała na brata. To zrozumieli oboje. Nie było pieniędzy, więc i nie będzie posiłku. W oczach Danny'ego pojawiło się przerażenie, a w oczach jego siostry łzy.

– Muszą ci zapłacić – wyszeptała mama. – Cały tydzień pracowałeś, muszą ci zapłacić.

– Oni nie mają pieniędzy – odparł tata. – Na tym polega bankructwo. Bankructwo znaczy, że zalegasz ludziom pieniądze i nie możesz im zapłacić.

– Ale pan Pilaster to porządny człowiek, zawsze tak mówiłeś.

– Toby Pilaster nie żyje. Powiesił się wczoraj w nocy w swoim biurze w Londynie. Miał syna w wieku Danny'ego.

– No ale jak mamy nakarmić nasze dzieci?

– Tego nie wiem – odrzekł i ku przerażeniu córki rozpłakał się. – Przykro mi, Sarah – mówił, a łzy skapywały mu na brodę. – Sprowadziłem cię w to straszne miejsce, tu nie ma ani jednego Żyda i nikt nam nie pomoże. Nie mam na lekarza, nie mogę kupić leków, nie mogę wykarmić dzieci; zawiodłem cię. Przykro mi, przykro mi.

Nachylił się i złożył mokrą twarz na piersiach żony. Drżącą ręką pogłaskała go po włosach.

Maisie owładnęło przerażenie. Tata nigdy nie płakał, zdawało się, że to koniec wszelkiej nadziei. Może przyjdzie im teraz wszystkim umrzeć.

Danny wstał, spojrzał na nią i skinął głową w kierunku drzwi. Na paluszkach wymknęli się oboje z pokoju. Maisie usiadła na progu i zaczęła płakać.

– Co teraz zrobimy?

– Będziemy musieli uciekać – odparł chłopiec.

Jego siostra poczuła zimny dreszcz w piersi.

– Nie możemy – zaoponowała.

– Musimy. Nie ma co jeść, jeżeli zostaniemy, to umrzemy.

Maisie nie przejęła się tym, że umrze, ale coś innego przyszło jej na myśl: mama na pewno się zagłodzi, żeby wykarmić dzieci. Jeśli zostaną, ona umrze. Musieli odejść, by ją uratować.

– Masz rację – przyznała. – Jeżeli odejdziemy, tata może zdobędzie tyle jedzenia, żeby starczyło dla mamy. Musimy odejść dla jej dobra.

Ze zdumieniem myślała o tym, co spadło na jej rodzinę. Było jeszcze gorzej niż tego dnia, kiedy odchodzili z Viskis, zostawiając za sobą płonące chaty w wiosce. Później wsiedli do zimnego pociągu z całym dobytkiem spakowanym do dwóch worków, lecz Maisie wiedziała wtedy, że tata zawsze, bez względu na to, co się wokół dzieje, otoczy ją opieką. A teraz sama musiała o siebie zadbać.

– Dokąd pojedziemy? – spytała szeptem.

– Ja do Ameryki.

– Do Ameryki! Ale jak?

– W przystani cumuje statek, który z rannym odpływem wyrusza do Bostonu… Wdrapię się po linie i schowam w jednej z tych łodzi, które są na pokładzie.

– Będziesz pasażerem na gapę – stwierdziła Maisie z lękiem i podziwem w głosie.

– Właśnie tak.

Spojrzała na brata i pierwszy raz dostrzegła u niego cień wąsów na górnej wardze. Stawał się mężczyzną, kiedyś będzie miał prawdziwą czarną brodę, tak jak tata.

– Jak długo się płynie do Ameryki?

Danny zawahał się i spojrzał na nią głupio.

– Nie wiem – przyznał.

Raptem dziewczynka uświadomiła sobie, że nie jest uwzględniona w planach brata; przygnębiło ją to i napełniło strachem.